Sternik

tygodnik dla młodych

ROK II Nr. 14. WARSZAWA, 26 PAŹDZIERNIKA 1930 R CENA 30 GROSZY

NA POLSKIEM MORZU



Wysunięta w morze głowa Oksywska zamglona była tumanem... Liczne zmiany dziejów przesunęły się nad tem gniazdem westchnień nadmorskiego ludu. Przeszły nad niem panowania mnisze, krzyżackie i świeckie, zabory, wywłaszczenia, księstwa, władztwa, królestwa, cesarstwa. Zawsze jednako uparte stróżowało nad swem morzem... Niepamiętne, zawsze jednako wytrwałe, niezniszczalne morze takiesamo było, jak przed niezliczonemi wiekami. Tam i sam rudy, czerwony, szary, na poły zwinięty dla wiatru żagiel niewidzialnej łodzi przerzynał zielone wody błękitne niebo. Taksamo, jak przed niezliczonemi wiekami...

(Stefan Żeromski — „Wiatr od morza").

Przed ćwierćwiekiem

Pójść do walki z siłą przemożną, pójść, gdy się samemu nie ma broni, a tylko gorącą wiarę w słuszność sprawy — to bohaterstwo. Ci, którzy przed dwudziestu pięciu laty, rozpoczęli walkę o szkołę polską przejdą do historji jako żołnierze w bojowaniu o polskość. Bo przecież czyn ich był wielkiem ryzykiem, a przez wielu szaleństwem nazwany. Rzesze ludzi „rozsądnych“ znajdą się zawsze, aby taki czyn nazwać porywaniem się z motyką na słońce. To było ulubione określenie pozytywizmu w stosunku do wszelkiej ostrej walki z caratem.

Dziś, gdy od tego czasu przeżyliśmy wiele kart historji, gdy zbieramy plony tej walki o szkołę, która była tylko prologiem do późniejszych czynów żołnierza, dziś oceniamy w pełni wysiłek naszych poprzedników i wielbimy ich „szaleństwo“. Szczęśliwym jesteśmy narodem, że takie karty mamy w swej historji, że zawsze w ciężkich chwilach nieomylny instynkt wskazuje nam właściwą drogę.

Cześć pionierom polskości. My młodzież polska ślubujemy iść waszym śladem i nie cofnąć się przed żadną ofiarą życia osobistego dla dobra Sprawy Polskiej.

FRAGMENTY

Przebieg akcji walki o szkołę polską jest dziś znany każdemu. Nie chcąc więc powtarzać rzeczy, które znalazły się już w słowie pisanem i które są oficjalną historją tych niedawnych dziejów, postanowiliśmy sięgnąć po wiadomości do tych ludzi, którzy kiedyś, jako młodzi uczniowie patrzyli niejako „od dołu“ na całą tę epokową akcję.

Byliśmy ciekawi, jak akcja strajkowa wyglądała w miastach prowincjonalnych, to też korzystając z uprzejmości dowódcy 36 pp. Legji Akademickiej, pana pułkownika Ulrycha, uzyskaliśmy od niego informacje, o strajku szkolnym na terenie Kalisza.

— Byłem wówczas w piątej klasie — zaczyna pułkownik Ulrych — więc nie znam tak dobrze kulis całej walki, jak ci, co nią wówczas kierowali. Strejkowi przewodziła przedewszystkiem klasa siódma i szósta; ósma szła do tej akcji dość lękliwie, gdyż myślała o swoich maturach, my zaś, piąta klasa, byliśmy dopiero w ostatniej chwili wciągnięci do działania.

— A kto przewodził walce w Kaliszu.

— Na czele akcji stanął Sławomir Czerwiński, przywódca młodzieży narodowej, a dziś Minister Oświaty. Choć był wówczas w ósmej klasie, a więc miał tylko parę miesięcy do ukończenia, to jednak nie wahał się przed wzięciem na siebie całej odpowiedzialności. Sławomir Czerwiński był dla całej młodzieży kaliskiej tak wielkim autorytetem, że słuchali go wszyscy — i młodzież narodowa i socjaliści, swemi wystąpieniami wzbudzał powszechny szacunek.

Pamiętam doskonale sam przebieg wypadków. Czułem na sobie wielką odpowiedzialność, gdyż jeden ze starszych kolegów wezwał mnie i zakomunikował, że akcja piątej klasy spoczywa na moich barkach.

Pewnego wieczoru Sławomir Czerwiński zebrał młodzież na cmentarzu Tynieckim i tam, w ciemnościach nocy, zapadła decyzja. Przebieg manifestacji został dokładnie ustalony.

Zaczęło gimnazjum męskie. Uczniowie manifestacyjnie przybyli do gimnazjum żeńskiego, poczem udali się wszyscy razem do szkoły realnej. Pochód pomaszerował przez miasto, a kiedy doszliśmy do cerkwi, Czerwiński zdjął czapkę i, rzucając ją w górę, krzyknął: „Niech żyje polska szkoła, niech żyje wolna Polska“.

Tak wyglądał wybuch strejku.

— A co było potem?

— Potem, kiedy już chodzliśmy do polskich prywatnych szkół, rozpoczęliśmy walkę z tymi, co pozostali w szkołach rządowych. Byli to przeważnie Rosjanie, Żydzi, trochę Niemców, ale byli między nimi i Polacy. Ci rekrutowali się z pośród biedoty, lub też dzieci urzędników państwowych, bojących się represyj. Temu łamaniu strejku należało przeciwdziałać. Zastosowaliśmy do nich całkowity bojkot, a nawet biliśmy ich.

— A jak było z maturami?

— Czerwiński odrazu pojechał zdawać maturę do Krakowa, a potem następne roczniki też uzyskiwały matury w Małopolsce. Zdawanie matury w szkołach rządowych było łamaniem strejku. Dopiero później opinja pozwoliła na zdawanie matur w głębi Rosji.

— A w jakim stosunku pozostawała działalność młodzieży kaliskiej do całej akcji?

— Byliśmy jej cząstką. Nie trzeba zamykać oczu na prawdę, że walka o szkołę polską to nie była samorzutna, nieprzygotowana manifestacja młodzieży. Nie, to była planowa akcja przygotowana przez tajną organizację młodzieży szkolnej i akademickiej. Zjazdy, zebrania z udziałem starszych kierowników konspiracji, poprzedziły nasz czyn. Rozpoczęcie walki, to była decyzja naszych przywódców — nam po-

zostało jej sprawne wykonanie. Naturalnie pociągnęliśmy za sobą i młodzież niezrzeszoną, czem wykazaliśmy sprawność organizacyjną. Zaczęło się od góry, ale ferment rewolucyjny poszedł na całe społeczeństwo. Wszyscy niemal poszli z nami — i walka o szkołę polską była pierwszą wygraną akcją od czasu upadku powstania 63 r. Dlatego ta wygrana miała tak doniosłe znaczenie.

I dziś mogę śmiało powiedzieć, że wtedy poraz pierwszy poczułem się żołnierzem. To była naprawdę walka zywcięska. Pozostało w nas po niej pragnienie dalszego czynu.

Moja działalność w wyższych klasach, zmusiła mnie do ucieczki przed aresztowaniem i schronienia się w Krakowie, skąd już do Kalisza wracać nie mogłem. Rodzinę moją, z którą mogłem się spotykać we Wrocławiu, pocieszałem, że jeszcze wrócimy do Kalisza z karabinami.

I tak wróciliśmy.

P. Martynowiczówna, komendantka warszawskiej chorągwi harcerskiej opowiada nam, jak wyglądały nastroje postrejkowe w Warszawie.

— Chociaż i przed strejkiem byłam w prywatnej szkole polskiej, to przecież pamiętam, jak wielką zmianę w nastrojach młodzieży wywołała cała akcja strejkowa. Nie wiem, jakie ambicje mieli nauczyciele, ale młodzież uważała, że „szkoła to my". Uważaliśmy, że poziom szkoły zależy od nas. Byliśmy do niej gorąco przywiązani, kochaliśmy ją, bo to była „nasza" szkoła. Ciekawa jestem czy młodzież dzisiejsza odczuwa ten nastrój w stosunku do szkoły?

To nasze nastawienie wpływało oczywiście i na stosunek do nauczycielstwa. Nauczycieli polaków uważaliśmy za swoich przyjaciół i byliśmy z nimi w jaknajserdeczniejszych stosunkach. Może najlepszym przykładem naszego poczucia odpowiedzialności za szkołę był nasz udział w pogrzebie Krzemińskiego, ostatniego członka Rządu Narodowego. Zebrała się cała warszawska młodzież. Szliśmy szkołami, doskonale ustawieni, ale bez nauczycieli. Oficjalny udział nauczycieli mógłby narazić szkołę, prosiliśmy ich więc, aby szli z publicznością. Myśmy szli sami. I tak w każdym wypadku pamiętaliśmy, że nie możemy narażać szkoły — całą odpowiedzialność braliśmy na siebie.

— Zdaje sie, że bezpośrednio po strejku kuratorjum mianowało paru inspektorów polaków. Czy stosunek młodzieży do nich był taki sam, jak do nauczycieli?

— O nie. Nie mogłyśmy się do niego przekonać. Kiedyśmy go zobaczyły w oficjalnym mundurze, powiedziawszy sobie, że człowiek, który nosi takie same guziki, jak ten znienawidzony Moskal, to chyba nie jest prawdziwy Polak. Całą swoją dziecianą intuicją, czułyśmy, że to jeszcze nie jest tak, jak być powinno. A kiedy taki inspektor zaczynał mówić z nami np. o Mickiewiczu, byłyśmy tem do głębi wzburzone. Z takiemi guzikami o Mickiewiczu!... .

— To pani pamięta i dawnych inspektorów?

— O tak. Utkwił mi szczególnie w pamięci alarm związany z każdem jego przybyciem. W szkole bowiem była cała sieć dzwonków, która ostrzegała każdą klasę, gdy tylko ten dostojnik przestępował progi szkoły. Pamiętam, jak wtedy coprędzej zbierałyśmy książki polskie i wynosiłyśmy je do prywatnego mieszkania na tych samych schodach. Najlepiej zaś pamiętam historję z portretem cesarza. Inspektor, wchodzący do gabinetu przełożonej, mógł widzieć nad fortepianem portret cesarza. Nie wiedział jednak, że natychmiast po jego wyjściu odpowiedni mechanizm sznurowy opuszczał portret wdół, aż do ziemi, na jego miejsce zaś dźwigał się do góry wypchany jastrząb. Nie posiadałyśmy się wtedy z radości. Marzeniem każdej z nas było móc „spuścić cesarza za fortepian".

— A, wracając do strejku, czy może mi pani powiedzieć, jak ustosunkowywano się do „łamistrejków".

— Bojkot, jaknajsurowszy bojkot, przybierający czasem nieprzyjemne nawet formy. Byliśmy jednak na tym punkcie nieprzejednani. Pamiętam, jak jeden z kolegów zaczął kiedyś wyrażać swoje wątpliwości, czy jednak postępowanie nasze nie jest zbyt ostre, czy ono nas nie demoralizuje. Byliśmy tak oburzeni na te jego wątpliwości, że zastanawialiśmy się na zebraniu naszej tajnej organizacji, czy taki kolega może wśród nas pozostawać. Wkońcu jednak pozwoliliśmy mu pozostać w organizacji, byleby nie szerzył swoich wątpliwości. Jak dalece jednak te wątpliwości były tylko teoretyczne, świadczy najlepiej następujący obrazek: Któregoś dnia kolega ten, już wówczas maturzysta, siedział z przyjacielem w cukierni. Nagle zrywa się. „Dokad idziesz" — pyta przyjaciel. „Idę prać w mordę" — odpowiada ów nasz kolega, który spostrzegł przez okno swego kolegę szkolnego w czapce warszawskiej politechniki.

Wszelka akcja, zmierzająca do złagodzenia bojkotu wywoływała w nas oburzenie. Nie zapomnę nigdy poruszenia, jakie sprawiły artykuły Romana Dmowskiego, który nawoływał do zaprzestania bojkotu. Uznaliśmy to za zdradę stanu. Delegacja młodzieży, dwoje siódmoklasistów, wyraziło Dmowskiemu swe słowa oburzenia. To świadczy zresztą jeszcze raz o tem, jak poważne stanowisko nadawała sobie młodzież, skoro potrafiła w ten sposób reagować na wystąpienia publicystów. O tak, Dmowskiemu nie mogliśmy tego darować.

— Oczywiście ta akcja bojkotowa była kierowana przez organizacje tajne?

— Tak jest. One trzymały wtedy ster życia młodzieży. Praca szła nadzwyczaj intensywnie, przecież nawet wydawaliśmy swoje pismo. A trzeba dodać, że potrafiliśmy jakoś robić to wszystko bez pieniędzy — nie liczyliśmy przecież na żadne subwencje. Potrafiliśmy nawet sami pismo roznosić do domów I jedno niech pani napisze. Nigdy żadnej naszej pracy nie uważaliśmy za poświecenie. Nie chcieliśmy „cierpieć dla narodu", jak to się szumnie mówi. Robiliśmy to, co było naszą wewnętrzną potrzebą. Mam jednak dziś to poczucie, że owa wewnetrzna potrzeba pchnęła nas wówczas w dobrym kierunku.

W. P.

Z PRZYRODY I TECHNIKI

Rzadkie zwierzęta

Któż z nas nie słuchał z zaciekawieniem opowiadań o smokach i strasznych potworach, które kiedyś zaludniać miały gęstwiny leśne, szerząc przestrach wśród mieszkańców bezbronnych osiedli ludzkich. Tylko dzielni rycerze, nieskazitelni bohaterowie nie bacząc na grożące im niebezpieczeństwo wybierali się na straszną rozprawę z potwornym tyranem okolicy, a nieśmiertelna sława wieńczyła ich skronie po osiągniętem chlubnie zwycięstwie.

Z wiekiem przekonaliśmy się, że smoków na Ziemi niema, że nie grożą nam żadne zwierzęta ziejące ogniem, pogodziliśmy się ostatecznie z tem, że rzeczywistość inaczej wygląda, aniżeli świat ułudy napełniający mnogością fantastycznych obrazów dziecinny nasz umysł.

Zapewne zdziwicie się Drodzy Czytelnicy niezmiernie jeśli Wam oświadczę zupełnie na serjo, że w owych prastarych legendach mieści się nieco, a właściwie nawet bardzo wiele, prawdy. Dziś już smoków niema, atoli w dawnych, odległych epokach na naszej, małej ziemskiej kuli świat wyglądał zupełnie inaczej, wielu zwierząt dziś należących nierozerwalnie do naszego obrazu światowego, jakieś kilkaset tysięcy, czy miljonów lat temu na Ziemi nie było, a te zwierzęta, które wtedy były panami kontynentów i mórz dawno już zniknęły z naszego krajobrazu. Może nas dziwić taka „zmiana dekoracji", ale ostatecznie wobec licznych dowodów naukowych musimy się z faktem tym zgodzić. Zresztą ,czyż sami nie jesteśmy świadkami powolnego zaniku pewnych gatunków zwierząt?

Jeszcze kilka lat temu roiło się w Warszawie od licznych okazów końskiego rodu, ciągnących w pocie czoła czcigodnych warszawiaków i jeszcze bardziej godnych czci prowincjałów po Marszałkowskiej, lub Nowym Świecie. Dziś już coraz mniej widać biednych, poczciwych szkap, a w Paryżu lub Londynie zjawienie się konia na ulicy należy już niemal do wielkomiejskich sensacji. W pracy rolnej koniki również nie są już nam potrzebne. Wszędzie ustępują powoli z placu boju, opróżniając powoli pozycje dla silniejszych sług człowieka — maszyn. I wydaje się, że niedalekie już są czasy, kiedy ostatnie „wypchane" konie wystawione będą w muzeach na pokaz publiczny, a ludziska gromadzić się będą dookoła niezwykłego stoiska, żeby oglądać na własne oczy niezwykłe zwierzę przeszłości.

Mniej więcej taki sam los, jaki czeka nasze dzielne rumaki, dzieliły w niezliczonych wypadkach dawno wymarłe gatunki zwierząt, a wśród tych przedstawicieli fauny „prehistorycznych" nie brak również i takich okazów, których wygląd zdumiewająco przypomina obrazy smoków, tak często spotykanych w książkach dla młodzieży.

Uczeni, uzbrojeni w łopaty, wydobyli z łona matki Ziemi liczne spróchniałe kości dawnych mieszkańców naszego globu i takim to sposobem dowiedzieliśmy się, że kilkadziesiąt miljonów lat przed nami włóczyły po powierzchni Ziemi swe potężne cielska rozmaite gady, długości czasem kilkudziesięciu metrów. Jeden rodzaj tych gadów potworów mierzył od głowy aż do końca ogona około 50 metrów! Szkielety tych gigantów oglądać można w większych muzeach Europy i Ameryki.

Uczeni sądzili do niedawna, że ostatnie gady-potwory wyginęły, zanim zjawił się na Ziemi człowiek. Atoli od kilku lat mnożą się dowody, że ostatni mohikanie dawnej wspaniałości jaszczurczej żyli jeszcze za czasów naszych praojców, kilkaset tysięcy lat temu. Od czasu do czasu zaś uporczywie odzywały się głosy twierdzące, że jeszcze teraz na odległych wyspach, lub w odludnych mało znanych krajach żyją resztki tych ongiś panów Ziemi.

Tak naprzykład opowiadano już dawno, że jedna z wysp

Komandor Tokugawa

(Dokończenie).

Milczeli. Zbliżała się piętnasta godzina rewolucji, agonji i pojedynku sygnałów — pojedynku krwi samurajów i krwi rewolucji. Komandor Tokugawa powiedział: — „Ani jeden mój żołnierz nie opuści stanowiska". Dowódcy czerwonej baterji zakomunikowano telefonicznie rozkaz: — „Nie dawać żółtym małpom żadnej pomocy. Wywiesić sygnały „poddajcie się". Nie poddadzą się — rozstrzelać".

Milczeli. Czekali. Oczy bolały od gryzącego słońca i dymu, nawiewanego z lądu. Na chwilę, nagle, monotonną gorycz czekania na coś przerwał ostry warkot bliskiej motorówki. Odruchowo wszyscy trzej rzucili się ku oknu. W odległości dwudziestu metrów rwała wzdłuż burty kontrtorpedowca motorówka pełna uzbrojonych ludzi. Jeden z nich wygrażał komuś — może im — pięścią. — Przemknęli. Dopiero teraz, po długiej chwili, uświadomili sobie cierpką gorycz zawodu. Tak, — gorycz zawodu. W pierwszej sekundzie, na odgłos terkotania motorówki, każdy pomyślał przedewszystkiem: — ocalona. Ach, — ostry zgrzyt zawodu, ten upał, to niebo, ten jadowity odor powietrza, ten zaduch, to milczenie. Kadet Jamada nie mógł wytrzymać.

— Szatani! — syknął. — Szatani!... Magadori.—

To „Magadori" — imię straszliwej apokaliptycznej bestji z Tsurezure-Gusa*) rozwiało milczenie ogniomistrza Ito.

— Tak. Panowie pamiętają ten piękny ustęp Tsurezure, w którym jest mowa o żelaznych ptakach zniszczenia. Coprawda trudno przyrównać mi do magadori tą bandę, lecz ten obraz...

Mimowoli spojrzeli w kierunku jego ręki. Mimowoli zatrzymała się na tle lazuru, ponad dymami, na sygnałowym maszcie baterji. Niewzruszone, okrutne „poddajcie się". I znów — spazm milczenia, brak słów, trzy pergaminowe maski zastygłe w bezruchu.

— „Pole chwały.." — znów powracał do tej myśli ogniomistrz Ito. — Ach, komandor wolałby sam otrzymać tą kulę, wolałby, wolałby tysiąckrotnie...

---

*) Epos Staro - japoński.

malajskiego archipelagu Komodo kryje w swem wnętrzu legendarne potwory. W roku 1912 donieśli rybacy o istnieniu olbrzymich gadów na Komodo. Sprawą tą zainteresował się dyrektor zoologicznego muzeum w Buitenzorg na Jawie, prof. T. A. Ouwens. Wysłana przez muzeum ekspedycja istotnie odkryła 5 jaszczurów okazałej długości trzech metrów.

Wojna światowa sprawiła, że przestano się interesować niezwykłemi mieszkańcami małej malajskiej wysepki. Dopiero po wojnie wyprawiło się kilka ekspedycji na wyspę Komodo. Jedno z owych egzotycznych zwierząt udało się przetransportować do ogrodu zoologicznego w Amsterdamie.

By zbadać obyczaje, sposób życia i rozmnażania się olbrzymich jaszczurów wysłało amerykańskie muzeum przyrodnicze w roku 1926 ekspedycję pod wodzą W. Douglas Burdena. Burden miał uchwycić na taśmie filmowej niezwykłych mieszkańców Komoda i pozatem dostarczyć amerykańskim muzeum egzemplarzy tych rzadkich okazów świata zwierzęcego Wyprawa udała się znakomicie. Burden powrócił z tuzinem zabitych smoków, a dwa zwierzęta żywe zwiózł do Bronx-Park. Niestety mimo troskliwej opieki smoki nie mogły się pogodzić z nowym trybem życia i niebawem przeprawiły się na tamten świat.

Dla człowieka nieuzbrojonego w broń palną olbrzymie jaszczury są niebezpiecznemi wrogami. Burden obserwował pewnego razu jak jeden z jaszczurów jednem człapnięciem olbrzymich swych szczęk odgryzł dzikowi tylną nogę wraz z szynką. Jaszczury te polują na ssaki i prócz groźnej paszczy uzbrojone są w potworne szpony.

Prócz smoków z wyspy Komodo żyją na ziemi inne jeszcze zwierzęta obecnie już bardzo rzadkie i niezwykłe. Do takich właśnie zwierząt należy tybetański pandu, o którym niedawno jeszcze nie wiedziano do jakiego gatunku zwierząt należy go zaliczyć. Jest to zwierz dość duży, żyjący na wysokości przeszło 3000 metrów ponad poziomem morza na wyżynach tybetańskich na pograniczu chińskich prowincji Juennan i Szetszwan.

Pandu został odkryty w roku 1869 przez francuskiego misjonarza Dawida, który nabył od tubylców skórę tego zwierzęcia. Wszystkie próby zdobycia żywego okazu pandu długo pozostawały bez sukcesu. Dopiero gdy w roku 1928 amerykańskie Field-Muzeum zorganizowało wyprawę pod kierunkiem Kermit'a Roosevelt'a, syna byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, w celu odszukania śladów tego zwierzęcia, osiągnięto lepsze wyniki.

Po długich i bezskutecznych poszukiwaniach ekspedycja natrafiła pewnego marcowego poranka roku zeszłego na niedźwiedzi ślad, zarysowujący się wyraźnie na świeżo spadłym śniegu. Przeszło cztery godziny członkowie wyprawy posuwali się poprzez gęstwinę bambusowego lasu po śladach zwierzęcia, aż wreszcie ujrzeli go wychodzącego z zagłębienia w spróchniałym pniu. Może nieco nierozważnie i — powiedzmy szczerze — tchórzliwie kilku członków ekspedycji celnym wystrzałem swych fuzji zakończyło żywot jednego z ostatnich mohikanów tego gatunku. Okazało się, że pandu należy do niedźwiedzi, aczkolwiek różni się poważnie od zwykłych misiów. Po pierwsze jest nieco większy, następnie posiada uzębienie wskazujące wyraźnie na wybitnie jarskie menu jego kuchni, a wreszcie nie uznaje snu zimowego. Ekspedycja Rooseelt'a zauważyła kilka śladów pandu w czasie najostrzejszej zimy, a i ten również ,który zginął tak tragicznie w momencie, gdy zapoznawał się z kulturą ludzi cywilizowanych, wałęsał się po świecie pokrytym całunem śniegu.

Miejmy nadzieję, że następne ekspedycje naukowe, które zostaną zorganizowane w celu zbadania obyczajów tybetańskiego pandu pozostawią w domu fuzje, a zamiast tego uzbroją się w aparaty filmowe i inne przyrządy badań przyrodniczych

Bardzo rzadkie okazy możemy również spotykać w świecie ptaków. Takim dziwnym gatunkiem ptasim jest naprzykład mieszkaniec moczarów środkowej Afryki, zwany przez Arabów Abu Markub, czyli ojciec bagna. Okoliczności tej, że ojczyzną Abu Markuba jest obszar bardzo niezdrowy i dla ludzi z tego powodu niedostępny zawdzięcza rzadki ten przedstawiciel fauny przeddyluwjalnej przetrwanie aż do naszych czasów.

Wiele tysięcy kilometrów dzieli ojczyznę Markuba od świata cywilizowanego. Odległość z Kairu do Kartumu wynosi 3500 kilometrów, od Kartumu zaś przebyć musimy jeszcze

---

Wtem wszedł felczer Togo. I on — bledszy niż zazwyczaj, z tym swoim zakłopotanym uśmiechem za szkłami ciemnych okularów. Zasalutował.

— Pan komandor prosi panów oficerów na pokład...

Wstali. Kadet Jamada wytchnął szeptem: —

— Pani Sumiko? Co się stało?...

— Umiera. -- Szepnął felczer.

Wyszli. Pięć stopni —i odrazu rozgrzany odor morza. Dopiero teraz słyszało się powietrze: donośne skwierczenie przerażonych zatrutych dymem mew lecących chmarami w niebie podnosiło monotonną wibrację wstrząsów, jakąś piekielną harmonję huku — od najniższego grzmotu dział do sypkiego grzechotu kulomiotów. — I wraz z jodowym zapachem morza lepki swąd spalonej bawełny, nadpełzający od lądu. Oczy nawykłe do cienia kabiny aż zaszkliły się od migotania nieba i wody. Przeszli parę kroków.

Na niskim materacu w cieniu plandeku przykryta prześcieradłem leżała Sumiko. Widoczną była tylko niezmiernie biała twarz.

Skwierczały mewy — i świergot ten był stokroć nieznośniejszym od huku armat. Nic poza temi przeszywającemi ptasiemi głosami, poza lamentem chorych ptaków — lamentem bezradności. I może właśnie to dobiło do reszty świadomość panowania nad sobą kadeta Jamady. Postąpił krok naprzód. Jakaś desperacka potęga poderwała jego młodzieńcze serce. Felczer Togo, zakłopotany, cichy, stał obok z niezastygłem jeszcze na wargach „umiera". Twarz Sumiko, nisko, nieziemsko biała, ze źrenicami po brzegi wypełnionemi wołaniem o pomoc, o ratunek, o życie. A nadewszystko — kamienny skurcz ,tak: — kamienny skurcz rozpaczy zaciśniętych ust komandora Tokugawa. I jego postać — postać wodza.

Kadet Jamada salutując przemówił:

— Panie komandorze. — Skandował, — proszę wysłuchać. — Proszę nie odmówić mej prośbie. Zdaję sobie sprawę ze złamania przysięgi. Proszę o pozwolenie odwiezienia pani komandorowej na ląd, do szpitala. Mam nadzieję, że nie jest jeszcze zapóźno. Wyjazd mój na ląd proszę uważać za dezercję. Jestem do usług sądu wojennego Jego Cesarskiej Mości.

kilkaset kilometrów wzdłuż wstęgi białego Nilu, a następnie wzdłuż dopływu nilowego Bar el Chazelu, by dotrzeć wreszcie do samego wnętrza czarnego lądu do bagnistych jezior, a i wtedy jeszcze bardzo jest wątpliwem czy uda nam się ujrzeć Abu Markuba u siebie w domu.

Szwedzkiemu uczonemu Bengt Bergowi udało się ptaka tego uwięzić na taśmie filmowej, pozatem jednak mało o nim wspominają roczniki zoologiczne.

Abu Markub wzrostem przewyższa naszego bociana, w budowie ogólnej ciała jednak odbiega zupełnie od zwykłych norm i zdradza antyczne pochodzenie swego rodu. W czasach Trzeciorzędu, wtedy gdy cały nasz glob paradował wśród planet przyozdobiony w bujną szatę tropikalnej flory, a mnogie zwierzęta rozgwarem życia napełniały dżungle przepastnych lasów, w czasach odległych od nas dobre miljon lat, Abu Markub był jednym z książąt ptasiego rodu. Żaden ptak współczesny nie może się poszczycić tak ogromnym dziobem stanowiącym główną jego broń, poza którym zanika cała reszta ciała. Ze względu na ten potężny dziób, potężny zarówno w długości jak w szerokości i wysokości Anglicy nazwali go „bocianem wielorybim". Małe rybki i żaby stanowią jego pożywienie.

Nawet tubylcy rzadko widują ojca bagien, nic więc dziwnego, że liczne legendy, opowiadane o nim wśród murzynów uczyniły z niego tajemniczego ptaka baśni. Jego stosunki rodzinne są nam zupełnie nieznane, nikt dotąd nie zdołał wyśledzić, kiedy, gdzie i jak buduje sobie gniazda. Przypadek tylko sprawił, że kilka lat temu dwaj młodzi „ojcowie bagna" dostali się nad Bar el Chazalem do rąk tubylców. Dziś te właśnie ptaki są ozdobą i najciekawszym nabytkiem ogrodu zoologicznego w Kairze.

Wszystkie wymienione powyżej zwierzęta prawdopodobnie niedługo już zdobić będą wielki ogród zoologiczny naszego globu. Dla nich „lepsze czasy" już przeszły, a obecna epoka znajduje się pod znakiem innej fauny. Za lat kilkaset o nich już milczeć będą roczniki zoologji, a zamiast tego w swych księgach rejestracyjnych otworzy nowe rubryki paleontolog, badający świat organiczny ubiegłych epok.

Dr. F. Burdecki.

Na froncie

Wojna o Polskę trwa ciągle. Trwa na tylu frontach, że każdy dzień może przynieść nam porażki, tak jak przynosi wielkie zwycięstwa. Walczymy o wolną Polskę, walczymy z tem, co może ją niszczyć i rujnować.

Jedno z najważniejszych zadań, to wojna na froncie gospodarczym, a jednak my sami przyczyniamy się do porażek w tej wojnie. Każdy grosz wydany na obce towary zamiast na krajowe zwiększa bezrobocie i obniża wartość naszego pieniądza.

Z wyżyn wielkich haseł zejdźmy do skromnych codziennych wskazań, ich realizacja będzie naszym wielkim, zbiorowym czynem.

W rozpoczynającym się tygodniu Ligi Samowystarczalności Gospodarczej szerzmy propagandę kupowania wyrobów krajowych.

Wtedy komandor Tokugawa po raz pierwszy podniósł oczy.

— Proszę się uspokoić, kadecie Jamada. — Rrzekł, — pańska obecność na pokładzie mojego okrętu jest potrzebniejsza Jego Cesarskiej Mości niż sądom.

Spojrzał wokoło. Nad portowemi składami podnosiła się ku niebu olbrzymia kolumna dymu i przesłoniła słońce gęstą brunatną mgłą. Żarzyło się teraz ono purpurą, jak na sztandarze Nipponu — mocarstwa Jego Cesarskiej Mości. Komandor Tokugawa spojrzał wokoło. Na tle popielatego nieba rysowała się teraz jeszcze ostrzej sywetka masztu sygnałowego baterji — „poddajcie się"... — Nikt, zdaje się nie słyszał jak wargi komandora Tokugawa szepnęły — zapóźno!

Pochylił się nad twarzą Sumiko. Wszystkiemi porami uciekała z niej krew i życie. Nieziemsko biała twarz. Otworzyła jeszcze raz oczy, przymknęła je. nie było w nich już nawet przerażenia, ani żalu ani niczego. Westchnęła po raz ostatni.

Komandor Tokugawa podniósł głowę, jeszcze raz spojrzał na sygnałowy maszt baterji.

— Kadecie Jamada, — rzekł, — każ pan zdjąć dotychczasowy sygnał i podnieść jeden: — „Nie".

Stali wszyscy, salutując umarłą żonę komandora Tokugawa, przez dłuższą chwilę, w milczeniu — zanim w dziesięć sekund po sygnale kontrtorpedowca „Nie" — nie runęła pierwsza salwa baterji.

Tylko jedna. Ale tego wystarczyło aby poprostu zdmuchnąć z powierzchni świata kontrtorpedowiec „Hiro".

Przez parę sekund — szczęk żelaza, bulgot wody, syk pary, jeden samotny okrzyk człowieka — i na miejscu, gdzie stał kontrtorpedowiec „Hiro" nie pozostało nic poza ogromnym syczącym lejem wody, wirującym coraz ciszej, coraz ciszej, coraz ciszej. Górą skwierczały mewy i szła nowa fala gęstych dymów spalonej bawełny. Armja Czerwonych zdobywała ostatnie przedmieście...

Stanisław Marja Saliński.

Z mającej ukazać się niebawem książki: „Haj-Szin-Wej — Wspaniały Gród Trepangów".

KRONIKA SPORTOWA

Miesiąc październik pod względem wyników sportowych nie przedstawiał się specjalnie interesująco. Jedyną bodaj prawdziwą sensacją było pobicie przez Francuza Ladoumegne rekordu światowego w biegu na 1500 m. Jeśli zważyć, że dr. Otto Peltzer wynik swój 3 m. 51 uzyskał podczas meczu z Nurmim i Wildem, meczu który pozostanie nazawsze historycznym, i że rekord jego uważano za jeden z najbardziej wyśrubowanych i najtrudniejszych do pobicia — wyczyn małego Paryżanina, który 1½ kilometra przebył w 3 m. 49,2 sek. — uznać należy za wręcz fenomenalny. Co nie oznacza oczywiście, by i on nie miał, może nawet wkrótce, paść; gdyż granic sił i możliwości ludzkich na żadnym terenie określić i zakreślić nie sposób.

Jeśli na boiskach panowała względna cisza — mniej spokojnie było wokół boisk. Tak naprzykład, wielkie poruszenie wywołała i wiele odgłosów w prasie znalazła sprawa dyskwalifikacji świetnego naszego biegacza Petkiewicza.

P. Z. L. A. zawiesił go na przeciąg 6 miesięcy za wycofanie się z biegu na 5000 m. podczas meczu międzypaństwowego Polska — Czechosłowacja w Pradze Czeskiej.

Jeśli zważyć, że Stanisław Petkiewicz wygrał dla Polski biegi na 800 i 1500 m. — trudno nie pomyśleć, że motywacja P. Z. L. A. wygląda dość słabo. Stąd — gorące protesty. Zapoznawszy się jednak bliżej ze sprawą i biorąc ją z punktu widzenia bardziej ogólnego, należy decyzję Związku uznać za usprawiedliwioną. Petkiewicz odstąpił od biegu nietylko dlatego, że był zmęczony i nietylko dlatego, że bał się spóźnić na pociąg i ewentualnie stracić posadę. Przedewszystkiem bał się przegrać do krajowego rywala Kusocińskiego, pokonanego w przeddzień tylko dzięki krańcowemu wysiłkowi. Wolał więc, niźli narazić swoją reputację — oddać punkty Czechom.

Było to uchybieniem jaskrawym przeciw elementarnym zasadom etyki sportowej.

Sport nietylko rozwój mięśni i powiększenie sprawności cielesnej ma na celu. Służyć winien i musi również celom wychowania moralnego, wyrobieniu silnych i szlachetnych charakterów. Duch sportowy — to przedewszystkiem duch koleżeńskości, lojalnej rywalizacji będącej formą przyjacielskiego współdziałania, duch ofiarności i poświęcenia. Dlatego tylko sport cieszy się tak ogólnym uznaniem, że nietylko mięśnie hartuje i nietylko ciało upiększa. A egoizm nigdy nie był i nigdy nie będzie piękny.

Wstępując do klubu, sportowiec nietylko prawa nabywa, lecz i obowiązki bierze na siebie. Zostaje oczywiście, jako czysty amator, swobodnym i nieskrępowanym, lecz nie bezgranicznie: musi swą wolność ograniczyć tam, gdzie wchodzić ona może w kolizję z interesem zrzeszenia.

Takie same obowiązki ciążą na nim jako na członku Związku Sportowego. A już co mówić o tem, jaka odpowiedzialność moralna spada nań wtedy, gdy dostąpi on zaszczytu bronienia barw narodowych. Obowiązek patrjotyczny, choćby w żaden regulamin nie ujęty i żadnemi przepisami nie określony — czyż nie jest najbezsporniejszym i najkategoryczniejszym? Sportowiec występuje tu już nietylko i nietyle jako piłkarz, wioślarz czy lekkoatleta, a przedewszystkiem jako obywatel. Więc jeśli pozwala sobie troskę o własną sławę i o osobiste triumfy postawić wyżej, niż myśl o chwale sztandaru — zasługuje na potępienie jeśli to czynił rozmyślnie, zasługuje na współczucie jeśli to czynił bezmyślnie.

Niestety, mało kto z czynnych sportowców się nad takiemi rzeczami zastanawia, i mało kto zwraca uwagę na głębsze wymogi etyki sportowej, będące często wymaganiami etyki wogóle. Zapomina się o tem w wirze walki, w ogniu współzawodnictwa, w gorączce podniecонych ambicji i w upojnych snach o sławie, powodujących coraz częściej pognębienie ideałów i spaczenie kierunku rozwojowego życia sportowego.

Zwrócił na to, ostatnio, jeszcze raz uwagę najpierwszy apostoł tych ideałów wzniosłych, odnowiciel Igrzysk Olimpijskich, baron Piotr de Conbertin.

Zarzuca on sportowi współczesnemu trzy wady kardynalne: przetrenowanie fizyczne, obniżenie poziomu intelektualnego, wprowadzenie do sportu zmysłu handlowego i chęci zysków materjalnych.

Są one bezsprzeczne. Dążenie zapamiętałe do rekordu, do osiągnięcia zwycięstwa za wszelką cenę — zmusza do wysiłków nadmiernych, organizmowi szkodzących, i do poświęcenia ćwiczeniom fizycznym tyle czasu, że na troskę o rozwój umysłowy już go nie starcza. Widowiskowość, z drugiej strony, kasowość imprez sportowych nieuniknienie wprowadzają czynnik businessu.

Baron Coubertin widzi możliwość zastosowania środków zaradczych w formie ustanowienia różnicy między wychowaniem sportowem a zawodnictwem, ograniczenia liczby zawodów sportowych, rozwinięcia medycyny sportowej, budowania objektów sportowych nie obliczonych na tysiące widzów, a mających służyć tylko celom treningowym, wreszcie akcji, zmierzającej do poskromienia przesadnego zapału sportowego młodzieży, a rozwinięcia zamiłowania do kultury fizycznej u osób dojrzałych, a w związku z tem — do całkowitego wyodrębnienia sportu szkolnego.

W życiu sportowem, w miarę jego rozwoju i rozrostu, w miarę ogarniania przezeń coraz szerszych kół — pokazują się coraz częściej plamy i rysy i skazy. Tak samo, jak we wszystkiem innem na świecie. Lecz czy ma to znaczyć, że przepiękne ideały sportowe gasną niepowrotnie, i że szczytnych swych celów ruch sportowy nigdy nie osiągnie? Bynajmniej. Ludzie o umysłach światłych, wychowawcy, pedagodzy, kierownicy pełni poświęcenia i niesłabnącej energji myślą bezustannie o naprawie i walczą namiętnie o zachowanie sportowi jego szlachetnych cech. Praca ich musi dać plony, młodzież, ta co się do sportu tak garnie, pójdzie za niemi, pójdzie zawsze za temi, co chcą piękna ciała i piękna duszy.

W. J.

HUMOR

Ojciec: Pan nauczyciel twierdzi, że niewiele może z tobą zrobić.

Syn: Zawsze mówiłem, że on jest do niczego.

Nauczyciel: Tyle razy wam przypominam, że nie mówi się „większa połowa“ — połowy zawsze są równe. Tak, ale wy nigdy nie pamiętacie moich słów — ot i teraz, mówię do was, a większa połowa klasy nie słucha...

Mama do pięcioletniej Zosi: Zosiu, czy wiesz, że za tydzień są twoje imieniny?

Zosia w płacz.

— Czemu płaczesz.

— Bo znów się będę musiała uczyć wierszyka...

Odpowiedzi działu literackiego

P. Szeliga.

Pańska nowela mogłaby zostać wydrukowana w „Sterniku“, gdyby nie jej nadmierna długość. Oto najbardziej zasadniczy szkopuł. Ale są jeszcze inne.

Zanim zaczniemy Pana ganić, musimy wyznać, co następuje: „Fatum“ jest napisane zręcznie, łatwo i z dość dużem opanowaniem techniki pisarskiej. Radzimy Panu pisać dalej i gotowi jesteśmy otworzyć Mu łamy „Sternika“ — o ile następne rzeczy będą odpowiadały naszym wymaganiom.

A teraz uwagi krytyczne. Pomijamy ortograficzne błędy (np. bęzyna), bo to się zdarza, pomijamy banalną manjerę w zmyślaniu takich nazwisk jak Parski — to są rzeczy błahe i dające się zmienić, natomiast główny kładziemy nacisk na błędy w psychologicznej konstrukcji noweli. Pojawienie się profesora Koseckiego w łódce „na Wiśle“ nie jest dostatecznie uzasadnione, nie tłumaczy się . Można było paroma zdaniami na początku opowiadania uzasadnić prawdopodobieństwo tego zbiegu okoliczności, nie osłabiając bynajmniej końcowego efektu.

Równie nieuzasadnionem psychologicznie wydaje się nam wprowadzenie postaci Mundka Guzika, który pojawia się w myślach „wyrwanego“ z łaciny Parskiego i ma odgrywać rolę że tak powiemy — fabularnego wiązadła. To przejście można było związać zręczniej.

Z opisu postaci prof. Koseckiego sądzić można, że jest on wyobrażeniem jakiejś znienawidzonej przez Pana (pewnie niesłusznie!), istniejącej realnie postaci szkolnego nauczyciela. Uległ Pan, jak się zdaje, typowej uczniowskiej psychozie posądzania nauczycieli o jaknajgorsze w stosunku do uczniów intencje. Jeśli Panu wpadnie w ręce przekład tomu pięknych opowiadań rosyjskich p. t. „Rodzina i Szkoła“ (nazwiska autora niestety! nie pamiętamy), proszę zwrócić uwagę na pewną mistrzowsko napisaną nowelę o uczniu i profesorze. Temat podobny do tego, który Pan sobie obrał. I tam w grę wchodzi samobójstwo ucznia, tym razem udane. Postać profesora wzrusza nas swoją tragiczną prostotą. Oto ten, na którego „czterdzieści par oczu“ patrzy z nienawiścią i strachem, pan życia i śmierci — pokazuje nam w zetknięciu ze śmiercią swoje prawdziwe oblicze, oblicze znękanego i ściganego przez los nieszczęśliwca, którego jedyną winą była pomyłka przy wyborze zawodu.

Umyślnie piszemy tak obszernie, aby Panu dowieść, że nie zlekceważyliśmy Pańskiej noweli, której kilka ustępów (zwłaszcza opis tonięcia bohatera) świadczy, że można w Panu pokładać nadzieje.

Tym pięknym nadziejom przydajemy naszą, skromną i prostą: że Pan nie będzie zapominał o „Sterniku“ i pozostanie nadal jego życzliwym przyjacielem.

Dział rozrywek umysłowych

Termin nadsyłania rozwiązań z tego numeru upływa w dn. 14 listopada b. r.

KONKURS „CZY WIESZ?“

Warunki konkursu podane zostały w Nr. 13.

ZADANIE III.

Za rozwiązanie tego zadania — 3 punkty.



W jakim stylu jest ta budowla, gdzie się znajduje i w którym wieku powstała?

ZADANIE IV.

Ułożyć krzyżówkę geograficzną, zawierającą nie mniej niż 20 nazw. Każdy nadsyłający taką krzyżówkę — otrzymuje 2 punkty. Najlepsza krzyżówka umieszczona zostanie w „Sterniku“.

ZADANIE V.

Odgadnąć z jakich utworów są wzięte następujące urywki. Za każdy urywek, po 2 punkty.

1. A w dniu hołdu! Od pałacu spiskiego do kościoła Panny Marji i do katedry na Wawelu stanęła infanterya i kawalerya w prostych linjach. Wyszli mieszczanie ze swymi cechami, świeckie i zakonne duchowieństwo, deputowani z cyrkułów i wszystka obecna szlachta w paradnych strojach, dalej personel Gubernium krajowego, wszystkie urzędy, akademja. Wszyscy uszykowali się w swych miejscach. Cisza jest, bardzo wielka cisza. Wtedy począł dzwonić na Wawelu wielki, starożytny dzwon, Zygmunt.

2. Ja jestem także obywatel polski! Oto masz moją rezolucyą: żołnierz nasz musi zajaśnieć cnotą na śmierć gotową, konduitą, żelazną subordynacyą i energją.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 639-86. Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów w poniedziałki i czwartki od 6 do 7 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł. 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80, 635-83.